

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

ROBERT HARRIS

ARCHANGIELSK



DYKTATORZY BUDZĄ GROZĘ
NAWET PO SWOJEJ ŚMIERCI

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ARCHANGEL

Copyright © Robert Harris 1998
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 1999

Redaktor prowadzący: Marzena Wasilewska

Zdjęcie na okładce: © Des Panteva/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-746-8

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom. Komwersja do formatu ...

...

...

Późną nocą dawno temu – zanim jeszcze się narodziłeś, chłopcze – pewien ochroniarz stał, paląc papierosa, na tylnej werandzie dużego domu w Moskwie. Noc była zimna, księżyc i gwiazdy schowały się za chmurami i palił przede wszystkim, by się rozgrzać, chowając w swoich wielkich chłopskich dłoniach żarzący się w tekturowej gilzie gruziński papieros.

Ochroniarz nazywał się Papu Rapawa. Miał dwadzieścia jeden lat i pochodził z Megrelii na północno-wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. Jeśli chodzi o dom... może lepszym słowem byłaby forteca... był to długi na pół przecznicy carski pałac, położony w dzielnicy dyplomatycznej, niedaleko rzeki. Na dole, gdzieś w chłodnym mroku otoczonego murami ogrodu, rósł wiśniowy sad, za nim biegła szeroka ulica Sadowaja-Kudrinskaja, a jeszcze dalej ciągnęły się tereny moskiewskiego zoo.

Ulica była pusta. Kiedy, tak jak w tej chwili, panowała cisza i wiatr wiał z odpowiedniego kierunku, z oddali dobiegało ledwo słyszalne wycie zamkniętych w klatce wilków.

Dziewczyna przestała już krzyczeć, na szczęście, gdyż jej krzyk działał Rapawie na nerwy. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat, była niewiele starsza od jego młodszej siostry i kiedy ją przywiózł, spojrzała na niego... spojrzała na niego... cóż, szczerze mówiąc,

wolał o tym nie mówić nawet teraz, po prawie pięćdziesięciu latach.

Tak czy owak, dziewczyna przymknęła się i Rapawa zaciągał się właśnie z rozkoszą papierosem, gdy zadzwonił telefon. To musiało być koło drugiej nad ranem. Nigdy tego nie zapomni. Koło drugiej nad ranem drugiego marca 1953 roku. W nieruchomym mroźnym powietrzu dzwonek zabrzmiał głośno niczym alarm przeciwpożarowy.

Normalnie – musisz to zrozumieć – w nocy pełniło wartę czterech strażników: dwóch wewnątrz i dwóch na ulicy. Ale kiedy w sypialni była dziewczyna, Szef nie lubił, żeby kręciło ich się zbyt wielu, przynajmniej w domu. Dlatego tej konkretnej nocy Rapawa był sam. Rzucił papierosa, przebiegł przez wartownię oraz kuchnię i wpadł do przedpokoju. Telefon był staroświecki, przedwojenny, zamocowany na ścianie – Matko Święta, jego jazgot zbudziłby chyba umarłego! Rapawa chwycił słuchawkę w połowie dzwonka.

– Ławrientij? – zapytał męski głos.

– Nie ma go tutaj, towarzyszu.

– Poproś go. Mówi Malenkow.

Zazwyczaj władczy głos był teraz ochryply z paniki.

– Towarzyszu...

– Poproś go. Powiedz mu, że coś się stało. Coś się stało w Bliźnym.



– Wiesz, co mam na myśli, mówiąc „Bliźnyj”, chłopcze? – zapytał stary.

Siedzieli obaj w tanich piankowych fotelach w małym pokoiku na dwudziestym trzecim piętrze hotelu Ukraina, tak blisko siebie, że dotykali się niemal kolanami. Stojąca przy łóżku lampa rzucała ich niewyraźne cienie na zasłonę w oknie: jeden profil kościsty, obrany do czysta przez czas, drugi wciąż pełny, mężczyzny w średnim wieku.

– Tak – odparł ten w średnim wieku; nazywał się Fluke Kelso.

– Tak, wiem, co macie na myśli. *(Jak mógłbym, do diabła, tego nie wiedzieć, miał ochotę mruknąć. W końcu przez dziesięć pieprzonych lat uczyłem w Oksfordzie historii Związku Radzieckiego...)*

Bliźnyj to po rosyjsku „bliski”. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych to słowo oznaczało na Kremlu „Bliską Daczę”. A Bliska Dacza mieściła się w Kuncewie pod Moskwą – podwójne ogrodzenie, trzystu żołnierzy specjalnych oddziałów NKWD i osiem zamaskowanych trzydziestomilimetrowych dział przeciwlotniczych – wszystko to ukryte w brzozowym lasku, by chronić samotnego leciwego mieszkańca daczki.

Kelso czekał, aż stary podejmie opowieść, ale Rapawa skupił nagle całą uwagę na papierosie, usiłując go zapalić klubową zapałką. Nie potrafił ująć w palce cienkiego paska tektury. Nie miał paznokci.

– No i co zrobiliście?

Kelso pochylił się i podał staremu ogień, mając nadzieję, że ten gest osłabi nachalność pytania. Starał się ukryć podniecenie. Na małym stoliku, między pustymi butelkami, brudnymi kieliszkami, popielniczką oraz zmiętymi paczkami marlboro leżał miniaturowy magnetofon, który Kelso umieścił tam, gdy wydawało mu się, że Rapawa nie patrzy. Stary zaciągnął się mocno papierosem, z wdzięcznością spojrzął na żarzący się czubek i rzucił zapałki na podłogę.

– Słyszałeś o Bliźnym? – odezwał się w końcu, sadowiąc się wygodniej w fotelu. – W takim razie wiesz, co zrobiłem.

Trzydzieści sekund po odebraniu telefonu młody Papu Rapawa pukał do drzwi Berii.



Członek Politbiura, Ławrientij Pawłowicz Beria, okryty luźnym czerwonym jedwabnym kimonem, pod którym jego brzuch sterczał niczym wielki biały worek z piaskiem, wyzwał Rapawę po megrelsku od skurwysynów i pchnął go w pierś tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu. A potem odsunął ochroniarza na bok

i ruszył w stronę schodów, zostawiając na parkiecie mokre ślady spoconych białych stóp.

Przez otwarte drzwi Rapawa widział wewnątrz sypialni – wielkie drewniane łóżko, ciężką mosiężną lampę w kształcie smoka, szkarłatną pościel, białe nogi dziewczyny rozrzucone w ofiarnym geście. Miała szeroko otwarte, nieobecne ciemne oczy. Na stoliku przy łóżku stał dzbanek z wodą i słoiczki z lekarstwami. Na jasnożółtym dywanie z Aubusson leżały rozsypane duże białe tabletki.

Nie zapamiętał nic więcej ani jak długo tam stał, nim Beria zbiegł z powrotem po schodach. Był zdyszany i najwyraźniej zdenerwowany rozmową z Malenkowem. Rzucił dziewczynie jej ubranie, wrzeszcząc, żeby się wynosiła, natychmiast wynosiła, i kazał Rapawie podjechać samochodem.

Rapawa zapytał, kto jeszcze ma jechać. (Myślał o Nadarii, komendancie ochrony, który normalnie wszędzie jeździł z Szefem. Albo o Sarsikowie, który w tym momencie chrapał urzęnięty w trupa w wartowni w drugim skrzydle budynku). Beria stał odwrócony plecami do Rapawy i ściągał właśnie z siebie kimono. Słyszając pytanie, na chwilę znieruchomiał i obejrzał się przez tłuste ramię, ostro kombinując – widać było jego połyskujące za binoklami małe oczka.

– Nikt – odparł w końcu. – Tylko ty.

Samochód był amerykański – ciemnozielony dwunastocylindrowy packard z szerokim na pół metra stopniem, prawdziwe чудо. Rapawa wyprowadził go z garażu i cofając się, podjechał pod główne wejście budynku na Wspólnom Pierieułkie. Nie gasząc silnika, żeby szybciej zadziałało ogrzewanie, wyskoczył i stanął przy tylnych drzwiach w typowej pozycji enkawudzisty: lewa ręka na biodrze, płaszcz i marynarka lekko rozchylone, wystająca kabura, prawa dłoń na rękojeści pistoletu Makarow, wzrok penetrujący górę i dół ulicy. Beso Dumbadze, również pochodzący z Megrelii, wybiegł z za rogu, żeby zobaczyć, co się dzieje, i w tym samym momencie Szef wyszedł na ulicę.



– Jak był ubrany?

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć, jak był ubrany, chłopcze? – odparł z irytacją stary. – Jakie to, do diabła, ma znaczenie, w co był ubrany?



Właściwie – urwał, żeby się nad tym zastanowić – Szeł był ubrany na szaro. W szarym płaszczu, szarym garniturze i szarym pulowerze, bez krawata, w binoklach, z pochyłymi ramionami i wielką sklepioną głową wyglądał zupełnie jak sowa, stara złośliwa szara sowa. Rapawa otworzył drzwi, Beria usiadł z tyłu, a Dumbadze – który znajdował się w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od samochodu – wykonał gest oznaczający „Co mam, kurwa, robić?”. Rapawa odpowiedział wzruszeniem ramion – „Skąd mam, kurwa, wiedzieć?”. Obiegł dookoła samochód, siadł za kierownicą, wrzucił pierwszy bieg i odjechali.

Jeździł już do odległego o dwadzieścia pięć kilometrów Kuncewa kilkudziesiąt razy, zawsze w nocy, zawsze w konwoju sekretarza generalnego – i za każdym razem było to prawdziwe wydarzenie, chłopcze, mówię ci. Piętnaście limuzyn z zaciągniętymi z tyłu zasłonami, pół Politbiura – Beria, Malenkow, Mołotow, Bułganin, Chruszczow, plus ochroniarze – wyjeżdżało z Kremla przez Bramę Borowicką i pędziło ulicami sto dwadzieścia na godzinę. Milicja wstrzymywała ruch na wszystkich skrzyżowaniach, dwa tysiące enkawudzistów w cywilu strzegło trasy rządowego konwoju. Aż do ostatniej chwili nie wiadomo było, w którym samochodzie jest sekretarz generalny; dopiero kiedy skręcali z szosy w las, jeden z wielkich żyłów przyspieszał i wysuwał się do przodu, a pozostałe zwalniały, żeby pozwolić zająć pierwsze miejsce Prawowitemu Następcy Lenina.

Tej nocy było jednak zupełnie inaczej. Szeroka droga była pusta i gdy przejechali przez rzekę, Rapawa mógł rozpedzić

wielki jankeski samochód do maksymalnej prędkości. Strzałka szybkościomierza zbliżała się do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Beria siedział z tyłu nieruchomy jak głaz. Po dwunastu minutach zostawili za sobą miasto, po piętnastu, przy końcu szosy z Pokłonnoij Gory, zwolnili, żeby skręcić w zakamuflowany zjazd. W światłach reflektorów zamigotały białe wysokie pnie brzoź.

Jaki ten las był cichy, jaki ciemny, jaki nieogarniony – niczym łagodnie rozkołysane morze. Rapawa miał wrażenie, że ciągnie się aż po Ukrainę. Po przejechaniu ośmiuset metrów dotarli do pierwszego ogrodzenia, gdzie drogę zagradzał szlaban w białe i czerwone pasy. Dwaj uzbrojeni w pistolety maszynowe enkawudziści w pelerynach i czapkach wyszli z wartowni i na widok kamiennej twarzy Berii zasalutowali i podnieśli szlaban. Przez kilkaset metrów droga wiała się między zagajnikami, a potem w potężnych światłach packarda ukazało się kolejne ogrodzenie – wysoki na cztery i pół metra mur z otworami strzelniczymi. Niewidoczne ręce otworzyły od środka żelazną bramę.

Podjechali pod daczę.

Rapawa spodziewał się czegoś niezwykłego – sam nie wiedział dokładnie czego – samochodów, ludzi w mundurach, bieżaniny. Ale w piętrowym budynku było ciemno – paliła się tylko żółta latarnia nad drzwiami wejściowymi. W kręgu jej światła zobaczyli mężczyznę – pulchną ciemnowłosą sylwetkę zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów, Gieorgija Maksymilianowicza Malenkowa, którego nie sposób było pomylić z kimś innym. I jedno wydawało się dziwne, chłopcze: Malenkow zdjął swoje błyszczące nowe buty i wsadził je pod pachę.

Beria wyskoczył na zewnątrz, nim zatrzymał się samochód. Wziął Malenkowa pod łokieć i słuchał jego relacji, kiwając głową, wtrącając ciche uwagi i rozglądając się na wszystkie strony.

– Przeniosłeś go? Czy go przeniosłeś? – usłyszał w pewnej chwili Rapawa, a potem Beria odwrócił się w jego stronę i strzelił palcami, dając znak, żeby wszedł razem z nimi do środka.

Podczas poprzednich wizyt na dacy Rapawa zawsze albo

czekał na Szefa w samochodzie, albo szedł do wartowni, żeby napić się czegoś i zapalić papierosa z innymi kierowcami. Musisz zrozumieć, że wnętrze domu było zakazanym terytorium. Nikt, z wyjątkiem personelu sekretarza generalnego i zaproszonych gości, nigdy nie wchodził do środka. Idąc przez hol, Rapawa poczuł nagle, jak zapiera mu dech z przerażenia – fizycznie się dławi, jakby ktoś zaciskał palce na jego tchawicy.

Malenkov szedł przodem w samych skarpetkach i nawet Szef stąpał na palcach, więc Rapawa dostosował się do nich i starał się poruszać bezszelestnie. Poza nimi w pobliżu nie było nikogo. Dom sprawiał wrażenie wymarłego. Wszyscy trzej minęli stojący w holu fortepian i weszli do jadalni. Światło było tu zapalone, zasłony zasunięte. Na stole leżały jakieś papiery i stojak z fajkami Dunhilla, w kącie stał gramofon na korbę. Nad kominkiem wisiała powiększona czarno-biała fotografia w taniej drewnianej ramce, przedstawiająca sekretarza generalnego jako młodego mężczyznę, siedzącego gdzieś w słońcu z towarzyszem Leninem. Po drugiej stronie jadalni były drzwi. Malenkov odwrócił się, przytknął do ust pulchny palec i bardzo powoli je otworzył.



Stary przymknął oczy i wyciągnął pusty kieliszek, żeby mu nalać. Westchnął.

– Ludzie krytykują Stalina, chłopcze – powiedział – ale to jedno trzeba przyznać: żył jak robotnik. W przeciwieństwie do Berii, który uważał się za księcia. Pokój towarzysza Stalina wyglądał jak pokój prostego człowieka. Trzeba to przyznać Stalinowi. Był zawsze jednym z nas.



Płomień świeczki stojącej pod małym portretem Lenina zamigotał w przeciagu. Jedynym innym źródłem światła była lampa na biurku. Pośrodku pokoju stała zasłana kozetka. Prosty brązowy wojskowy koc zsunął się z niej na leżący na podłodze dywanik w

tygrysie cętki. Na dywaniku leżał na plecach, oddychając ciężko, pogrążony we śnie, niski, starszy, gruby rumiany mężczyzna w brudnym białym podkoszulku i zmoczonych wełnianych kalesonach. W sypialni było bardzo ciepło i unosił się smród moczu.

Malenkov podniósł tłustą dłoń do ust i zatrzymał się blisko drzwi. Beria podszedł szybko do dywanika rozpiął palto i ukląkł. Położył dłonie na czole Stalina i podniósł kciukami obie powieki, odsłaniając podbiegłe krwią nieruchome źrenice.

– Józefie Wissarionowiczu – powiedział cicho. – To ja, Ławrientij. Drogi towarzyszu, jeśli mnie słyszysz, porusz oczami. Towarzyszu... Mówisz, że może tak już leżeć od dwudziestu godzin? – dodał, zwracając się do Malenkowa, lecz przez cały czas patrząc na Stalina.

Z zasłoniętych dłonią ust Malenkowa wydarło się łkanie. Po jego gładkich policzkach płynęły łzy.

– Drogi towarzyszu, porusz oczami... Porusz oczami, drogi towarzyszu... Towarzyszu? Kurwa mać. – Beria wstał i wytarł palce o płaszcz. – To na pewno udar. Jest sztywny. Gdzie jest Starostin i chłopcy? I Butuzowa?

Malenkov beczał głośno i Beria musiał stanąć między nim i ciałem – dosłownie zasłonić mu widok, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Złapał Malenkowa za ramiona i zaczął przemawiać do niego bardzo cicho i bardzo szybko, tak jak przemawia się do dziecka – mówił mu, żeby zapomniał o Stalinie, że Stalin to już historia, Stalin to warzywo, że ważne jest, co teraz zrobią, i że muszą trzymać się razem. I gdzie są chłopcy? Czy siedzą w wartowni?

Malenkov pokiwał głową i wytarł nos rękawem.

– Dobrze – rzucił Beria. – Teraz powiem ci, co zrobimy.

Malenkov miał włożyć buty i pójść oznajmić strażnikom, że towarzysz Stalin śpi, że jest pijany i z jakiej, kurwa, racji on i towarzysz Beria zostali bez powodu wyciągnięci z łóżek. Miał im powiedzieć, żeby nigdzie nie dzwonili i nie wzywali żadnych lekarzy („Słuchasz mnie, Georgij?”). Zwłaszcza lekarzy, ponieważ

sekretarz generalny uważa wszystkich lekarzy za żydowskich truciciel... pamiętasz? Która jest teraz godzina? Trzecia? W porządku. O ósmej... nie, lepiej o wpół do ósmej Malenkow ma zacząć dzwonić do członków kierownictwa. Ma powiedzieć, że o dziewiątej rano on i Beria chcą zwołać tutaj, w Kuncewie, posiedzenie pełnego Politbiura. Ma powiedzieć, że martwią się o zdrowie Józefa Wissarionowicza i że trzeba podjąć kolektywną decyzję w sprawie jego leczenia.

Beria zatarł ręce.

– To sprawi, że zesrają się w portki. A teraz przenieśmy go na kanapę. Ty – zwrócił się do Rapawy. – Złap go za nogi.



Stary zapadł się w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi i przymknął oczy. Miał monotony głos. Nagle wydał z siebie długie westchnienie, wyprostował się i omiół spanikowanym spojrzeniem wnętrze pokoju.

– Muszę się odlać, chłopcze. Natychmiast.

– Tam.

Rapawa podniósł się z ostrożnym dostojeństwem pijaka. Przez cienką ścianę Kelso usłyszał plusk oddawanego do sedesu moczu. Prawidłowa reakcja organizmu, pomyślał. Musiał w końcu opróżnić pęcherz. Od czterech godzin oliwił pamięć Rapawy: najpierw piwem Bałtika w hotelowym barze, następnie żubrówką w kawiarni po drugiej stronie ulicy, wreszcie słodową whisky w ciasnym hotelowym pokoiku. To było jak zabawa z wiszącą na końcu haczyka rybą; zabawa z rybą w rzece pełnej wódki. Zauważył leżące na podłodze, rzucone przez Rapawę zapalniczki. Na tylnej tekturce widniała nazwa baru albo nocnego klubu – ROBOTNIK – wraz z adresem gdzieś niedaleko stadionu Dynama. Rozległ się odgłos spuszczonej wody i Kelso schował szybko zapalniczki do kieszeni. Rapawa stanął w drzwiach, oparł się o framugę i zapiął rozporek.

– Która jest godzina, chłopcze?

– Dochodzi pierwsza.

– Muszę już iść. Pomyśla, że jestem twoim pieprzonym kochankiem.

Rapawa wykonał obsceniczny gest dłonią. Kelso udał, że się śmieje. Jasne, zaraz zadzwoni po taksówkę. Jasne. Ale najpierw trzeba osuszyć do dna butelkę... sięgnął po whisky, sprawdzając ukradkiem, czy kręci się taśma... dokończyć butelkę, towarzyszu, i dokończyć opowieść.

Stary zasepił się i wbił wzrok w podłogę. Opowiedział mu już wszystko. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Położyli Stalina na kanapie... i co z tego? Malenkov poszedł pogadać ze strażnikami. Rapawa odwiózł Berię do domu. Wszyscy wiedzą, co się stało. Dzień albo dwa później Stalin umarł. A niedługo potem zginął Beria. Co do Malenkowa, popadł na długie lata w niełaskę (Rapawa widział go raz, w latach siedemdziesiątych, drepczącego po Arbacie), ale teraz on również nie żyje. Nadaria, Sarsikow, Dumbadze, Starostin, Butuzowa... wszyscy umarli. Umarła partia. W gruncie rzeczy umarło całe to pierdolone państwo.

– Z pewnością to nie jest cała historia – powiedział Kelso.

– Proszę, siadajcie, Papu Gierasimowiczu, wypijemy do końca butelkę.

Mówił grzecznie i z wahaniem, bo czuł, że narkoza alkoholu i próżności przestaje działać i że trzeźwiejąc, Rapawa może sobie nagle uświadomić, że powiedział o wiele za dużo. Zobaczył w jego oczach kolejny błysk irytacji. Chryste, ci starzy enkawudziści byli zawsze tacy cholernie trudni, trudni i być może w dalszym ciągu niebezpieczni. Kelso miał czterdzieści kilka lat, o trzydzieści mniej od Rapawy. Ale był w nie najlepszej formie... prawdę mówiąc, nigdy nie był w dobrej formie i gdyby stary nagle się wściekł, w starciu z nim nie miałby większych szans. Rapawa przeżył w końcu obozy za kołem podbiegunowym. Na pewno pamiętał, w jaki sposób można kogoś zranić – zranić kogoś bardzo szybko, pomyślał Kelso, i być może bardzo dotkliwie.

Nalał do pełna Rapawie, dolał sobie i zmusił się, żeby mówić

dalej:

– No więc jesteście tam. Macie dwadzieścia pięć lat i jesteście w sypialni sekretarza generalnego. Nie mogliście znaleźć się bliżej centrum wydarzeń. To było wewnętrzne sanktuarium, święte miejsce. O co chodziło Berii, kiedy was tam zabierał?

– Jesteś głuchy, chłopcze? Mówiłem już. Chciał, żebym przeniósł ciało.

– Ale dlaczego akurat wy? Dlaczego nie któryś z ochroniarzy Stalina? To oni go w końcu znaleźli i zaalarmowali Malenkowa. I dlaczego Beria nie zabrał ze sobą do Kuncewa kogoś wyższego rangą? Dlaczego wybrał akurat was?

Rapawa wahał się, wpatrzony w szklankę z whisky. Kelso uznał później, że tak naprawdę wszystko, co zdarzyło się tej nocy, wynikało z tego, że Rapawa chciał się napić, że chciał tego dokładnie w tym konkretnym momencie i jego pragnienie było silniejsze od chęci wyjścia. Stary usiadł ciężko w fotelu, opróżnił jednym haustem szklankę i wyciągnął ją przed siebie.

– Papu Rapawa – kontynuował Kelso, nalewając mu po raz kolejny solidną porcję szkockiej. – Siostrzeniec Awksientija Rapawy, najstarszego kumpla Berii w gruzińskiej NKWD. Młodszy od innych ochroniarzy. Dopiero od niedawna w stolicy. Może bardziej naiwny od innych. Mam rację? Młody gorliwy chłopak, ktoś, na kogo Beria mógł spojrzeć i pomyśleć: Tak, mogę go zabrać, mogę zabrać młodego Rapawę, na pewno nie wyda sekretu.

Cisza przedłużała się i pogłębiała. W końcu stała się prawie namacalna, jakby ktoś trzeci wszedł do pokoju i siadł razem z nimi przy stole. Rapawa zaczął kołysać głową na lewo i prawo, a potem pochylił się, złapał oburącz za żyłasty kark i wlepił wzrok w wytarty dywan. Siwe włosy miał przycięte do samej skóry. Stara powęzłona blizna biegła od czubka głowy prawie po skroń. Wyglądała, jakby ranę zszył sznurkiem jakiś ślepiec. I te palce: poźółtkłe koniuszki i nigdzie ani śladu paznokcia.

– Wyłącz swoją maszynkę, chłopcze – powiedział cicho, wskazując głową stół. – Wyłącz ją. A teraz wyjmij taśmę... o

właśnie... i połów w miejscu, gdzie będę mógł ją widzieć.



Towarzysz Stalin był niskiego wzrostu – sto sześćdziesiąt dwa centymetry – lecz ciężki. Matko Święta, jaki ciężki! Jakby nie był zbudowany z tłuszczu i kości, ale z jakiegoś o wiele gęstszego tworzywa. Powlekli go po parkiecie... głowa sekretarza generalnego odbijała się od wypastowanych klepek... a potem musieli go podnieść, zaczynając od nóg. Rapawa zauważył – nie mógł nie zauważyć, bo miał je tuż przed oczami – że drugi i trzeci palec lewej stopy sekretarza generalnego są zrosnięte – diabelski znak – i kiedy inni nie patrzyli, przeżegnał się.

– Powiedz mi teraz, młody towarzyszu – odezwał się Beria, kiedy Malenkow odszedł – czy wolisz stąpać po tej ziemi, czy w niej leżeć?

W pierwszej chwili Rapawa nie wierzył własnym uszom. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo i że będzie miał szczęście, jeśli przeżyje tę noc.

– Wolałbym po niej stąpać, Szefie – wyszeptał.

– Zuch chłopak. – Beria złączył kciuk i palec wskazujący. – Musimy znaleźć klucz. Mniej więcej tej wielkości. Wygląda jak klucz, którym nakręca się zegar. Trzymał go na mosiężnym kółku przyczepionym do sznurka. Sprawdź jego ubranie.

Znajoma szara kurtka wisiała na oparciu krzesła, na niej złożono porządnie szare spodnie. Obok stały wysokie czarne kawaleryjskie buty z wysokimi na trzy centymetry obcasami. Rapawie trzęsły się ręce. Czy to jakiś sen? Ojciec i Nauczyciel Narodu Radzieckiego, Natchnienie i Organizator Zwycięstwa Komunizmu, Przywódca Całej Postępowej Ludzkości, leżał zabrudzony na kanapie, z porażoną połową swego żelaznego mózgu, a oni dwaj myszkowali po jego pokoju niczym złodzieje. Tak czy inaczej, wykonał rozkaz, zaczynając od kurtki, podczas gdy Beria zaatakował z wprawą starego czekisty biurko – wyciągał szuflady, obracał je do góry dnem, przetrząsał zawartość każdej, a następnie wpychał ją z

powrotem i wsuwał szuflady na miejsce.

W kurtce nie było nic, w spodniach też, z wyjątkiem brudnej chusteczki zlepionej zaschniętą kulką flegmy. Oczy Rapawy przyzwyczały się do półmroku i lepiej widział wewnątrz sypialni. Na jednej ze ścian wisiała duża chińska rycina przedstawiająca tygrysa. Na innej – i to było najdziwniejsze – Stalin przyklepił fotografie dzieci. Głównie małych brzdąców. Nie porządne odbitki, ale powydzierane nierówno z czasopism i gazet zdjęcia. Musiało ich tam być kilkadziesiąt.

– Masz coś?

– Nie, Szefie.

– Sprawdźmy kanapę.

Położyli Stalina na plecach, z rękami złożonymi na brzuchu, i można było pomyśleć, że staruszek po prostu zasnął. Miał ciężki oddech, prawie chrapał. Z bliska nie przypominał wcale swoich podobizn. Mięsiłą twarz pokrywały czerwone żyłki i płytkie kraterki blizn. Brwi i wąsy miał siwobiałe, przez rzadkie włosy widać było skórę czaszki. Rapawa pochylił się nad nim – co za smród... śmierdział tak, jakby już zaczął się rozkładać – i wsunął rękę w szparę między siedzenie i oparcie kanapy. Przejechał palcami w dół, pochyłając się na lewo, ku stopom sekretarza generalnego, a potem z powrotem w prawo, w stronę głowy, i nagle koniuszek jego palca wskazującego dotknął czegoś twardego i żeby to wyjąć, musiał wsunąć palec jeszcze głębiej, opierając delikatnie ramię o pierś sekretarza generalnego.

I wtedy stało się coś strasznego: przerażająca, okropna rzecz. Kiedy Rapawa wyciągnął klucz i zawołał szeptem Szefa, gensek odchrząknął i nagle otworzył oczy – zwierzęce żółte oczy, w których płonęły złość i strach. Nawet Beria zachwiał się, kiedy je zobaczył. Stalin nie poruszył żadną inną częścią ciała, ale z jego gardła wydobyło się coś w rodzaju stłumionego warczenia. Beria podszedł na palcach bliżej, przyjrzał się sekretarzowi generalnemu i przesunął dłoń przed jego oczami. To najwyraźniej nasunęło mu pewien pomysł. Wziął od Rapawy klucz i zaczął nim kręcić kilkanaście

centymetrów nad twarzą Stalina. Żółte oczy natychmiast wpiły się w klucz i śledziły go, ani na moment nie opuszczając, przez wszystkie punkty kompasu. Beria, teraz uśmiechnięty, kołysał powoli kluczem przez co najmniej pół minuty, a potem nagle złapał go w dłoń, zamknął palce i pokazał zaciśniętą pięść Stalinowi.

Cóż to był za głos, chłopcze! Bardziej zwierzęcy niż ludzki. Ściągał Rapawę, gdy wychodził z sypialni i stąpał korytarzem, ściągał go przez wszystkie lata, od tamtej nocy aż do dzisiaj.



Butelka szkockiej była pusta i Kelso klęczał teraz przed minibarkiem niczym ksiądz przed ołtarzem. Zastanawiał się, co pomyślał gospodarze sympozjum historycznego, gdy dostaną rachunki za alkohol, ale w tej chwili ważniejsze było, żeby stary miał się czego napić i żeby mówić. Zgarnął kilkanaście miniaturowych buteleczek – wódki, whisky, ginu, brandy, jakiegoś niemieckiego trunku z wiśni – i przeniósł je w obu dłoniach na stół. Kiedy usiadł i wypuścił je z rąk, kilka spadło na podłogę, ale Rapawa nie zwrócił na to uwagi. Nie był już starym dziadkiem popijającym w hotelu Ukraina, lecz przestraszonym młodzieńcem za kierownicą ciemnozielonego packarda w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. Szosa do Moskwy połyskiwała biało w światłach reflektorów, a z tyłu siedział nieruchomy jak głaz Ławrientij Beria.



Wielki samochód przemknął Kutuzowskim Prospektem i minął ciche przedmieścia w zachodniej części miasta. O wpół do trzeciej przejechał mostem Borodinskim przez rzekę Moskwę i ruszył gazem w stronę Kremla, na którego teren wjechał przez południowo-wschodnią bramę po przeciwnej stronie placu Czerwonego.

Kiedy tylko wpuszczono ich do środka, Beria pochylił się i dał Rapawie instrukcje – na lewo, obok Arsenału, a potem ostro na prawo, wąską bramą na wewnętrzny dziedziniec. W murach nie było ani jednego okna, tylko sześcioro małych drzwi. Kamienie,

którymi wybrukowano dziedziniec, lśniły szkarłatem niczym mokra krew. Spoglądając w górę, Rapawa zorientował się, że stoją pod wielką neonową czerwoną gwiazdą.

Beria zniknął szybko za jednymi z drzwi i Rapawa musiał podbiec, żeby go dogonić. Krótki korytarz wyłożony był kamiennymi płytami. Idąc nim, dotarli do windy pochodzącej jeszcze sprzed rewolucji. Przy akompaniamencie chrobotu żelaza i pomruku maszynerii jechali powoli do góry; minęli dwa ciche, pogrążone w mroku piętra, winda zatrzymała się gwałtownie i Beria odsunął kratę. A potem znowu szybko ruszył pierwszy korytarzem, kołysząc zawieszonym na sznurku kluczem.

Nie pytaj, dokąd poszliśmy, chłopcze, bo ci nie powiem. Pamiętam wyłożony dywanem długi korytarz, wzdłuż którego stały na marmurowych piedestałach wspiane popiersia, i spiralne schody, którymi trzeba było zejść na dół, następnie wielką salę balową, rozległą niczym pokład transatlantyku, z ogromnymi dziesięciometrowymi lustrami i stojącymi przy ścianach pięknymi połączanymi krzesłami. Wreszcie, niedaleko za salą balową, szeroki korytarz z otynkowanymi na zielono ścianami, podłogą, która cuchnęła pastą, i wielkimi ciężkimi drzwiami. Beria otworzył je jednym z kluczy, które miał na łańcuszku.

Rapawa wszedł za nim do środka. Zawieszane na starych, pamiętających cara, pneumatycznych zawiasach drzwi zamknęły się cicho za nimi.

Gabinet nie był zbyt imponujący. Mógł zadowolić dyrektora fabryki na jakimś zadupiu, w Wołogdzie albo Magnitogorsku – sześć na osiem metrów, biurko z kilkoma telefonami, kawałek dywanu na podłodze, stół, parę krzeseł, ciężkie zasłony w oknie. Na ścianie wisiała jedna z tych wielkich, różowych zwijanych map ZSRR – było to w czasach, gdy istniał jeszcze ZSRR – a obok znajdowały się kolejne, mniejsze drzwi, ku którym skierował się natychmiast Beria. Mieściło się za nimi coś w rodzaju szafy, a w niej poczerniały samowar, butelka armeńskiego koniaku i jakieś przybory do przyrządzania ziołowej herbaty. A także wbudowany

w ścianę sejf z masywnym mosiężnym przednim panelem, na którym znajdowała się tabliczka producenta z napisem nie w cyrylicy, lecz w jakimś zachodnim języku. Sejf nie był zbyt duży – trzydzieści centymetrów szerokości, może mniej. Kwadratowy. Elegancki. Prosta rączka, także z mosiądzu.

Beria zauważył, że Rapawa gapi się na sejf, i ostrym tonem kazał mu wynosić się na korytarz.



Minęła prawie godzina. Rapawa starał się zachować czujność, ćwicząc wyciąganie pistoletu z kabury, wmawiając sobie, że każde skrzypnięcie w wielkim budynku jest czymś krokiem, każdy poszum wiatru czymś głosem. Wyobrażał sobie sekretarza generalnego przemierzającego ten wypastowany korytarz w swoich kawalerskich butach, a potem próbował osłabić siłę tej wizji obrazem ludzkiego wraka, uwięzionego we własnym cuchnącym ciele w Kuncewie.

I wiesz co, chłopcze? Popłakałem się. Być może użalałem się również trochę nad sobą – nie przeczę, bałem się, srałem w portki ze strachu – ale naprawdę opłakiwałem towarzysza Stalina. Płakałem po Stalinie bardziej niż po własnym ojcu, kiedy umarł. Podobnie jak większość chłopaków, których znałem.

Gdzieś daleko zegar wybił czwartą.

Koło wpół do piątej pojawił się w końcu Beria. Trzymał w ręce małą skórzaną teczkę, w której były na pewno jakieś papiery, ale mogły również znajdować się inne przedmioty; Rapawa nie potrafił powiedzieć. Papiery pochodziły prawdopodobnie z sejfu, podobnie jak sama teczka. Chociaż teczkę Beria mógł też zabrać z gabinetu. Albo mieć ze sobą – Rapawa nie mógł tego przysiąc, ale to niewykluczone – od samego początku, od chwili gdy wysiadł z samochodu. Tak czy inaczej, miał to, czego chciał, i uśmiechał się.

Uśmiechał się?

Przecież mówię, chłopcze, uśmiechał się. Ale to nie był radosny uśmiech. Było w nim coś...

Żałosnego?

Zgadza się, coś żałosnego. Niedowierzanie, jakby chciał powiedzieć: „Kto by w to, kurwa, uwierzył?”. Jakby właśnie przegrał w karty.

Wrócili tą samą drogą, którą przyszli, tyle że tym razem, idąc korytarzem z popiersiami, trafili na strażnika, a ten na widok Szefa o mało nie padł na kolana. Lecz Beria spiorunował go tylko wzrokiem i nawet nie zwolnił kroku – nikt nigdy nie dopuścił się tak bezczelnej kradzieży.

– Wspólnyj Pierieułok – powiedział w samochodzie.

Dochodziła piąta rano. Było jeszcze ciemno, ale zaczynały chodzić trolejbusy i na ulicach pojawili się ludzie – w większości babuszeki, które sprzątały urzędy państwowe pod rządami cara i Lenina i które od jutra miały sprzątać je pod rządami kogoś nowego. Przy Bibliotece Leninowskiej namalowany na murze olbrzymi Stalin spoglądał z góry na robotników stojących w kolejce do metra. Beria położył teczkę na kolanach i otworzył ją. Paliła się wewnętrzna lampka. Beria czytał jakieś papiery, bębniąc niespokojnie palcami.

– Czy w bagażniku mamy łopatę? – zapytał nagle.

Rapawa odparł, że tak. Na wypadek, gdyby trafili na zaspy.

– A skrzynkę na narzędzia?

– Tak, Szefie. Dużą, z podnośnikiem, łyżką do opon, nakrętkami do kół, zapasową korbą, świecami zapłonowymi...

Beria odchrząknął i ponownie schował nos w papierach.



Ziemia w ogrodzie była twarda jak kamień, nakrapiana lśniącymi grudkami lodu, o wiele za twarda na łopatę, i Rapawa musiał obejść dookoła szopę i poszukać kilofa. Zdjął płaszcz, złapał oburącz trzonek, tak jak to czynił, obrabiając ojcowskie pole w Gruzji, i zatoczywszy szeroki łuk nad głową, opuścił kilof w dół, pozwalając, by dzieła dokonał sam impet narzędzia. Ostrze zagłębiło się w zmarznięty grunt aż po trzonek. Rapawa szarpnął

kilof w przód i w tył, wyrwał go z ziemi, ustawił się lepiej i wbił go ponownie.

Pracował w niedużym wiśniowym sadzie przy świetle lampy sztormowej wiszącej na pobliskiej gałęzi, najszybciej, jak mógł, wiedząc, że w mroku za jego plecami, daleko poza kręgiem światła, siedzi, obserwując go, niewidoczny Beria. Wkrótce tak się spocił, że mimo marcowego chłodu musiał zdjąć marynarkę i zakasać rękawy. Koszula przykleiła mu się do pleców i mimo woli przypomniał sobie innych ludzi, którzy wykonywali podobną pracę, podczas gdy on pilnował ich, trzymając w ręce karabin – innych ludzi w znacznie cieplejszy dzień, kąpiących doły w lesie, a potem kładących się w nich posłusznie twarzami do ziemi. Pamiętał zapach wilgotnej gleby, skwar, senną leśną ciszę i zastanawiał się, co zrobi, jeśli Beria każe mu się położyć na dnie dołu.

– Nie kop tak szeroko – doszedł go głos z ciemności. – To nie grób. Sam przysparzasz sobie więcej roboty.

Po jakimś czasie Rapawa zaczął używać łopaty na zmianę z kilofem; odłupywał kawały gliny i zeskakiwał na dół, żeby uprzętnąć rumowisko. Z początku ziemia sięgała mu do kolan, potem do pasa, w końcu do piersi – w tym momencie na górze pojawiła się okrągła jak księżyc twarz Berii, który kazał mu skończyć; dół był wystarczająco głęboki, Rapawa dobrze się spisał. Szef uśmiechał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wdrapać się na górę. Ujmując jego miękką dłoń, Rapawa czuł do niego taką miłość – taką falę wdzięczności i oddania, jakiej nie zaznał już potem nigdy w życiu.

Niczym dwaj starzy towarzysze – tak zapisało się to w pamięci Rapawy – złapali za dwa końce długą metalową skrzynkę na narzędzia i opuścili ją na dno dołu. Potem zasypali go, udeptali mocno ziemię, a Rapawa wygładził ją łopatą i pokrył zeschniętymi liśćmi. Kiedy ruszyli trawnikiem w stronę domu, na niebie na wschodzie zapalały się już pierwsze szare smugi brzasku.



Kelso i Rapawa opróżnili wspólnie miniaturowe buteleczki i przerzucili się na domowego wyrobu pieprzówkę, którą stary trzymał w poobijanej blaszanej manierce. Bóg jeden wiedział, z czego ją pędził. Może z szamponu do włosów. Powąchał ją, kichnął, po czym mrugnął do Anglika i nalał mu z meniskiem oleistej cieczy. Miała barwę gołębiej piersi i Kelso poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– A Stalin umarł – powiedział bełkotliwie, starając się uniknąć spełnienia toastu. Zdrętwiała mu szczęka.

– A Stalin umarł. – Rapawa potrząsnął ze smutkiem głową. Nagle pochylił się i stuknął kieliszkiem w jego kieliszek. – Za towarzysza Stalina!

– Za towarzysza Stalina!

Wypili.



Stalin umarł. I wszyscy oszaleli z rozpaczy. Wszyscy, z wyjątkiem towarzysza Berii, który wygłosił mowę pogrzebową do zgromadzonych na placu Czerwonym tysięcy rozhisteryzowanych żałobników tonem czytającego rozkład jazdy zawiadowcy stacji, a potem stroił sobie na ten temat żarty z chłopakami.

Rozeszły się o tym słuchy.

Beria był sprytnym człowiekiem, o wiele sprytniejszym od ciebie, chłopcze... zjadłby cię na śniadanie. Ale sprytni ludzie zawsze popełniają jeden błąd. Uważają, że wszyscy naokoło są głupi. A wszyscy nie są głupi. Potrzebują tylko trochę więcej czasu.

Szef myślał, że będzie rządził przez dwadzieścia lat. Przetrwał trzy miesiące.

Któregoś czerwcowego ranka – Rapawa był wtedy na służbie z tym samym co zwykle zespołem, Nadarią, Sarsikowem, Dumbadze – nadeszła informacja, że ma się odbyć specjalne posiedzenie prezydium w biurze Malenkowa na Kremlu. Ponieważ było to u Malenkowa, Szef specjalnie się nie przejął. Kim był w końcu gruby Malenkow? Zerem. Głupim brązowym miśkiem. Szef trzymał

Malenkowa na końcu sznura.

Dlatego wsiadając do samochodu, żeby udać się na posiedzenie, nie miał nawet krawata. Pojechał w niezapiętej koszuli i starym znoszonym garniturze. Po co miałby wiązać krawat? Był upalny dzień, Stalin już nie żył, w Moskwie było pełno dziewczyn, a on miał rządzić przez następne dwadzieścia lat.

Niedługo przedtem przestały kwitnąć wiśnie w ogrodzie.

Przybyli do siedziby Malenkowa i Szeff poszedł do niego na górę, a oni usiedli w przedpokoju przy wejściu. Jeden po drugim przyjeżdżali dygnitarze, wszyscy towarzysze, z których Beria śmiał się w kułak, kiedy tego nie widzieli – stary „Kamienny Dupek” Mołotow, tłusty wieśniak Chruszczow, ofermowaty Woroszyłow i na koniec marszałek Żukow, ten nadęty pacan z pierśią udekorowaną orderami. Wszyscy udali się na górę i Nadaria zatarł ręce.

– Może byście tak poszli do kantyny, Papu Gierasimowiczu – zwrócił się do Rapawy – i przynieśli nam kawy?

Dzień mijał. Co jakiś czas Nadaria szedł na górę, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zawsze wracał z tą samą wiadomością: posiedzenie wciąż trwa. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Posiedzenia prezydium często ciągnęły się godzinami. Ale o ósmej wieczorem szef ochrony zaczął się niepokoić, a o dziesiątej, gdy zapadł letni zmierzch, kazał wszystkim pójść z nim na górę.

Nie zważając na protesty sekretarzy Malenkowa, wdarli się do wielkiej sali. Była pusta. Sarsikow próbował zadzwonić z któregoś z telefonów, ale żaden nie działał. Jedno z krzeseł było wywrócone i leżało wokół niego kilka złożonych kartek. Na każdej zapisane było ręką Berii, czerwonym atramentem, jedno słowo: *Alarm!*

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).